

Boże Narodzenie w powojennym Lublinie



Adam Fiala

Perth, Australia

Po ponurym listopadzie samo oczekiwanie było czasem magicznym. Jak z Gałczyńskiego z tym, że zamiast zaczarowanej dorożki była zaczarowana podłoga. Oczywiście w okresie Świąt, bo normalnie tylko się chodziło po drewnianych klepkach. Mieszkaliśmy na parterze dwupiętrowej kamieniczki, ojciec dostał przydział kwaterunkowy. Wybrał parter bo bał się bomb, zabawne, przecież skończyła się akurat wojna. Był to bardzo zły wybór, bo zimno ciągnęło od piwnic. Utyskiwaliśmy na podłogę, ale święta ją zmieniały.

Najpierw matka wiórkowała metalowymi opiłkami drewniane klepki, potem myła, a następnie pastowała. Właśnie ten zapach pasty i zapach choinkowego igliwia stwarzał święta. Matka harowała jak niewolnica, ale z własnej woli. Uważała, że kobieta powinna zgotować dzieciom i mężowi wspaniałe święta. I tak było. Za oknem

wisiał zając i kruszył się na mrozie. Czekala gęś, pluskały się karpie w wannie. Przed samą wigilią matka całą noc piekła ciasto, ucierałem jej ser do sernika oraz robiłem uszka z grzybami do wigilijnej wieczerzy, kiedy się miała zapalić pierwsza gwiazdka. Gwiazdki takiej nie widziałem, niebo było pochmurne, a zmrok wcześniej zapadał.

Ojciec po pracy na poczcie (był dyrektorem na całe województwo lubelskie) spał pod kożuchem, a gdy się obudził zacierał ręce i udzielał mądrych porad matce.

Wydawało się, że powinniśmy mieć relatywnie wysoki standard życia, czytałem, że menadżer poczty w Australii był milionerem. Mieliśmy poziom życia średni, dużo pieniędzy ojciec lokował w znaczkach pocztowych. Ale używaliśmy w okolicach świąt służbowej Simki z kierowcą Czworonogiem, tak się nazywał. Jeździliśmy do Kurowa pod Lublinem na pyszne chłopskie kiełbasy. Same święta polegały głównie na jedzeniu. Potrafiłem zjeść pół gęsi i wtedy ojciec był wściekły. Nazywaliśmy go *pater familias* ponieważ rządził w rodzinie. W czasie wigilii pierwszy intonował kolędę Bóg się rodzi. Ale ja najbardziej lubiłem tę z takim zwrotem: „A Józef stary, a Józef stary ono pielęgnuje”. Śpiewałem wtedy zamiast stary po prostu Stalin, ku zgorszeniu matki. Matka była patriotką, winiła Armię Czerwoną za to, że czekała na Pradze aż się Powstanie w lewobrzeżnej Warszawie wykrwawiło. Ja pamiętam lepszy jeszcze numer od tego starego Józefa. Pewien ludowy rzeźbiarz dostał nagrodę za szopkę, w której zamiast starego Józefa umieścił Stalina w kremowym mundurze *generalissimusa*. Stalin wyglądał jak prawdziwy święty. Anegdotę opowiadał mi wuj Stanisław, ksiądz, bowiem nasza liczna rodzina miała także i księdza. Ale wujek Genek był od początku zagorzałym ateistą, lubił pociągać z butelki. Od świątecznego przejedzenia ratowały mnie wędrówki na nartach po polach i lasach jak się trafił śnieg, a wówczas bardzo często się trafiał i święta były białe jak *White Christmas*.

Rząd z założenia ateistyczny, przymrużał w czasie świąt oko i zamiast Dziadka Mroza, politycznie wówczas „korektnego”, był regularny święty Mikołaj. Po Trzech Królach choinka zaczynała się sypać. Jako ciekawostka, utrzymywała się w stojaku, który wykuł artystyczny kowal Kultys, ojciec matki Jadwigi. Kultys był ponoć działaczem politycznym SDKPiL lewica. Babka Bronisława znała dobrze matkę Mariana Buczka, przedwojennego działacza komunistycznego. Więc od małego byłem trochę lewicowy, ale zarówno matka jak i ksiądz Stanisław zciągali mnie na prawo, tak że zachowywałem równowagę.

Miałem ulubione w roku święta pasujące zresztą do siebie jak pięść do nosa. Myślę o Pierwszym Maju (zawsze w tym dniu było słońce), Bożym Narodzeniu i Wielkanocy. Babka Bronka mawiała: „Wielganoc”. Babka znała na pamięć z detalami całą rodzinę ostatniego cara. Te dwa święta, z wyjątkiem pierwszego polegały na odwiedzaniu licznych lubelskich kościołów. Raz były to szopki drugi raz groby. I tak można było też spojrzeć na święto Pierwszego Maja, które dla jednych było szopką, a dla drugich grobem. Mnie zaś bardzo smakowała kielbasa z bułką, którą można było nabyć z przystrojonej ciężarówki. Uwielbiałem też kukły: radioaktywne muchy na patykach oraz wielką figurę marszałka Tito z zakrwawionym toporem. W ogóle Pierwszy Maj kochał czerwoną farbę. Z pobliskiego KUL-u nikt nigdy nie uczestniczył w manifestacji.

Chodzenie do kościoła KUL-u, był niedaleko od ulicy Weteranów, dało mi intelektualne spojrzenie na religię, które zachowałem do dziś. KUL to był jakby matecznik Jana Pawła Drugiego. Byłem studentem, ale nie spotkałem go wtedy na wykładach. KUL dawał inne spojrzenie, można powiedzieć: pluralistyczne. Skończyłem jednak tylko prawo na UMCS. Na KUL-u zaczynałem historię sztuki oraz psychologię w ramach filozofii jak to się pisało: chrześcijańskiej. I rzecz ważna: w okresie świątecznym dostawałem mnóstwo kwitków do „Kulowskiej” stołówki od wyjeżdżających do domów kolegów.

W religii pociągało mnie to, że Chrystus zdecydowanie nie był ascetą, lubił zjeść i wypić w bogatych domach.



Dawna pocztówka